

# *Pisarze o Ameryce*

*15  
głosów*

*ze słowem wstępnym  
Czesława Miłosza*

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Redaktor naczelny – *George Clack*

Kierownik zespołu – *Paul Malamud*

Współpraca redakcyjna – *Mark Jacobs, Michael Bandler*

Opracowanie graficzne – *Thaddeus A. Miksiniski, Jr.*

Dokumentacja fotograficzna – *Maggie Johnson Sliker*

KOORDYNATOR POLSKIEGO WYDANIA:

*Peter Sawchyn*

AUTORZY POLSKICH PRZEKŁADÓW:

*Lucyna Aleksandrowicz-Pędich*

*Renata Gorczyńska*

*Magda Heydel*

*Michał Kłobukowski*

*Anna Kołyszko*

*Marcin Pędich*

AUTORZY PRZEKŁADÓW WIERSZY:

*Lucyna Aleksandrowicz-Pędich* – „Powinowactwo: Mustang”

*Renata Gorczyńska* – „W Zatoce Uciech”

*Grzegorz Gortat* – „Na brooklińskim promie”, „Jestli w nim życie”

*Michał Kłobukowski* – „Ja także opiewam Amerykę”, „Ja także opiewam Amérikę”, „Amerykański sonet”, „Wersy napisane ponad trzy tysiące mil od Opactwa Tintern”, „Amerykańska poezja”

Redakcja: *Grzegorz Gortat*

Fragment powieści „Kompleks Portnoya” Philipa Rotha w tłum. Anny Kołyszko wykorzystano za zgodą wydawnictwa Zysk i S-ka.

Design and printing by  
Regional Progam Office, Vienna  
RPO 2004-xxx Polish (Writers on America)

# Pisarze o Ameryce

15  
głosów

Wprowadzenie .....	v
Whitmanowskie wtajemniczenie .....	ix
<b>Elmaz Abinader</b> .....	<b>1</b>
<b>Julia Alvarez</b> .....	<b>9</b>
<b>Sven Birkerts</b> .....	<b>19</b>
<b>Robert Olen Butler</b> .....	<b>29</b>
<b>Michael Chabon</b> .....	<b>37</b>
<b>Billy Collins</b> .....	<b>45</b>
<b>Robert Creeley</b> .....	<b>53</b>
<b>David Herbert Donald</b> .....	<b>63</b>
<b>Richard Ford</b> .....	<b>71</b>
<b>Linda Hogan</b> .....	<b>79</b>
<b>Mark Jacobs</b> .....	<b>87</b>
<b>Charles Johnson</b> .....	<b>97</b>
<b>Bharati Mukherjee</b> .....	<b>105</b>
<b>Naomi Shihab Nye</b> .....	<b>115</b>
<b>Robert Pinsky</b> .....	<b>123</b>



*Disegno o America*

## Wprowadzenie

---

*Nieważne, czas ani miejsce – ani  
odległość,  
Jestem z wami, mężczyźni i kobiety  
pokolenia i tak wielu pokoleń,  
które przyjdą po mnie,  
To, co wy czujecie patrząc na rzekę i  
niebo, także i ja czuję,  
Tak jak każde z was jest jednym z  
żyjącego tłumu, także i ja byłem,  
Tak jak was krzepiły radość rzeki i  
pogodna fala,  
także i mnie krzepiły,  
Tak jak wy stoicie wsparci o reling,  
a przecież spieszycie z wartkim  
prądem,  
także i ja stałem, lecz spieszyłem,  
Tak jak wy spoglądacie na  
niezliczone maszty statków i  
grube kominy  
parowców, także i ja spoglądałem.*

WALT WHITMAN, fragment z  
„NA BROOKLIŃSKIM PROMIE” (1856)

Przyczynkiem do niniejszej publikacji był intrygujący pomysł, jaki zgłosił Mark Jacobs, amerykański dyplomata i powieściopisarz w jednej osobie. Twierdzi on, że gdyby grupę współczesnych poetów, pisarzy, krytyków i historyków amerykańskich zapytać, co według nich znaczy być pisarzem

amerykańskim, ich odpowiedzi mogłyby ukazać w ciekawym świetle pewne wartości amerykańskie: wolność, zróżnicowanie, demokrację – wartości być może nie w pełni rozumiane w świecie. Przystępując do eksperymentu, zrobiliśmy rzecz następującą: wybraliśmy piętnastu pisarzy, którzy osiągnęli pewną pozycję w uprawianej dyscyplinie, a jako grupa w dużym stopniu odzwierciedlają różnorodność współczesnego pisarstwa amerykańskiego, i poprosiliśmy każdą z tych osób o napisanie eseju. Temat brzmiał: Co znaczy dla ciebie być pisarzem amerykańskim?

Pytanie to poniekąd przywołuje długą tradycję literackiej samoanalizy w Stanach Zjednoczonych. Michel Guillaume S. Jean de Crevecoeur postawił to pytanie w słynnych „Letters from an American Farmer” (1782): „Czym więc jest ów Amerykanin, ten nowy człowiek?” Z kolei Ralph Waldo Emerson w wydawnym w 1837 roku manifestie „The American Scholar” wzywał

do intelektualnego uniezależnienia się od „dworskich muz Europy”. Sto lat później Ernest Hemingway tak zdefiniował amerykańskie pisarstwo: „Cała współczesna literatura amerykańska wywodzi się od książki Marka Twaina pod tytułem „Huckleberry Finn”. W pewnym więc sensie prosiliśmy każdego z piętnastu autorów o uaktualnienie odpowiedzi na pytanie Crevecoeura, biorąc pod uwagę realia XXI wieku.

Pierwsze, co uderza, to różnorodność esejów. Ameryka widziana oczami pisarzy nie jest jednolita, lecz zróżnicowana. I nie ma w tej różnorodności doświadczeń niczego dziwnego. Zadajmy to samo pytanie piętnastu osobom o twórczej indywidualności, a otrzymamy piętnaście różnych odpowiedzi.

Jeśli jednak przyjrzymy się dokładniej, zobaczymy, że w esejach przewijają się pewne wspólne wątki. Po pierwsze, pisarstwo tkwi korzeniami w pamięci wczesnego dzieciństwa, odnoszącej się do konkretnego czasu i miejsca – małego miasteczka, farmy, miejskiej dzielnicy. „Wszelka polityka ma charakter lokalny” – zauważył kiedyś Tip O’Neill, przewodniczący Izby Reprezentantów. Nasi pisarze ujęliby to zapewne słowami: „Wszystko ma swój początek w rodzinnym

domu”. Dla Elmaz Abinader dom to zapach arabskiego chleba, który piekła jej matka w małym miasteczku w Pensylwanii. Dla Roberta Pinsky’ego to opowieści zasłyszane w dzieciństwie, spędzonym w podupadającym kurorcie nadmorskim w New Jersey. Michael Chabon odnajduje magię młodości w wymyślnych nazwach związanych ze zbudowanym według planów miastem, w którym się wychował. Historyk David Herbert Donald swoje miejsce jako pisarza widzi w rodzinnej tradycji gawędziarskiej, jaka kwitła na amerykańskim Południu w czasach jego dzieciństwa.

W przypadku piętnastki pisarzy pojęcie „dom” często oznacza kulturę imigrantów, wniesioną przez jedno z rodziców bądź dziadków. Nierzadko za sprawą „mieszanego małżeństwa” dochodzi do wymieszania się w rodzinie, na wiele pokoleń, przynależności religijnej czy etnicznej. Wydaje się, że pisarz będący potomkiem imigrantów przechodzi rytuał inicjacyjny w dwóch etapach: pierwszy to rozpoznanie chęci zasymilowania się z głównym nurtem oraz określenie różnic, drugi to odkrycie integralności rodzimej kultury. Pamiętnik Svena Birkerts jest formą medytacji nad młodzińskim, w dużej mierze pod-

świadomym, zadurzeniem się w Ameryce Środkowego Zachodu, po którym, za sprawą literatury europejskiej, nastąpiło odkrycie na nowo łotewskiego dziedzictwa pisarza. Kulminacją opowieści Julii Alvarez o długiej drodze, jaką przebyła z rządzonej po dyktatorsku Dominikany do amerykańskiej wolności, jest dwukulturowa pieśń, w której hiszpański i angielski przeplatają się ze sobą.

Kluczowym słowem, które w przekonaniu wielu spośród piętnastki pisarzy definiuje Amerykę, jest „szansa”. „Potwierdziło się to, że w Stanach Zjednoczonych wszystko jest możliwe – stwierdza Naomi Shihab Nye, opisując nastawienie wywodzącego się z Palestyny ojca wobec przybranej ojczyzny. – Choć niekoniecznie miał szansę wzbogacić się z dnia na dzień, mógł jednak sprzedawać polisy ubezpieczeniowe, importować barwne upominki z całego świata, zakładać sklepiki, mógł zostać dziennikarzem. Mógł robić praktycznie wszystko”.

Jednocześnie autorzy esejów przyznają, że amerykańskie społeczeństwo było i nadal jest dalekie od doskonałości. Abinader i Alvarez nigdy nie zapomną epitetów, jakimi obrzucali ich szkolni koledzy, których przodkowie przywędrowali do Ameryki wcześniej niż

oni. Trzydzieści pięć lat po swych narodzinach Columbia w stanie Maryland, gdzie Chabon spędził lata dzieciństwa, miasto, które miało być eksperymentalnym przykładem międzyrasowej egzystencji, nie jest wolne od presteżeczności i niepokojów na tle rasowym. Poetka Linda Hogan, w której żyłach płynie krew Indian amerykańskich, jest aż nadto świadoma tragicznego losu, jaki spotkał jej ziomków z rąk europejskich kolonizatorów.

Jednak autorzy tego zbioru zdają się dostrzegać pełniejszą prawdę o Ameryce w wierze stryjecznego dziadka afroamerykańskiego pisarza Charlesa Johnsona. Urodzony w 1892 roku na wiejskim Południu dziadek Will wywędrował na Północ, gdzie założył i prowadził kilka firm, nie przestając przy tym głosić potrzeby zdobywania wykształcenia. „Rozumiał doskonale – pisze Johnson – i uczył nas tego na własnym przykładzie, że chociaż czarni Amerykanie byli w przeszłości nierzadko gnębieni, to u podstaw Ameryki legły zasady, ideały i dokumenty (...) które zmuszają ją do ciągłego korygowania własnych błędów. Możliwości, których jemu odmówiono, nam są już dostępne. Ale pod warunkiem, że będziemy się kształcić i ciężko pracować”.

Innym częstym doświadczeniem w przypadku zebranych tu autorów jest wychodzenie poza obręb własnych przeżyć i własnych społeczności – również poza obręb ich „amerykańskości” – w kierunku silnego poczucia uniwersalizmu. Bharati Mukherjee uważa, że pisarze na całym świecie „tworzą plemię kierujące się podobnymi osądami i zapatrywaniami. Spotkałam w świecie wielu poważnych pisarzy – tłumaczy – którzy mają ironiczny i bardzo sceptyczny stosunek do wszelkich autorytetów, a zarazem podchodzą ze współczuciem do ludzi zagubionych i przegranych. Szybko wychwytyują wszelkie sprzeczności i absurdy, potrafią docenić utwory kolegów i rozpoznać różnorakie kształtujące je czynniki”.

Richard Ford umieszcza nieznanego młodego pisarza w dalekim kraju i zastanawia się, co to znaczy być pisarzem. „Zapewne pisze mniej więcej to samo, co ja, może tylko lepiej – sugeruje Ford. – I to mnie cieszy. Bo nawet jeśli wszystkie te lata, które przeżyłem jako Amerykanin, dały mi choćby większą zdolność dostrzegania podobieństw, pokrewieństw i powinowactw łączących mnie z ludźmi, których nigdy nie spotkam, jeśli nauczyły mnie żyć w zgodzie z najcen-

niejszą mądrością literatury, to bycie Amerykaninem – i w mniejszym stopniu pisarzem – ogromnie mi posłużyło”.

W wielu esejach pobrzmiwa głos wielkiego amerykańskiego poety Walta Whitmana (1819–1892). Poeci Robert Creeley i Billy Collins przyznają, że twórczość Whitmana miała na nich niemały wpływ; Julia Alvarez kończy swój esej wierszem „Ja także opiewam Amérikę”, nawiązując do nieśmiertelnego wersu Whitmana „słyszę śpiew Ameryki”. Niewielu potrafiło równie triumfalnie jak Whitman ukazać jednostkę jako część całego narodu amerykańskiego, powiązać pojedynczą duszę z ludzkością.

Powieściopisarz Robert Olen Butler pod koniec swojego eseju przywołuje więź, którą Whitman odczuwał szczególnie silnie.

„Twórcy na całym świecie codziennie przekraczają bramę indywidualnej nieświadomości i zagłębiają się w obszar nieświadomości zbiorowej – pisze Butler – skąd przynoszą wizje tego, co nas wzajemnie łączy. Jestem Amerykaninem. Jestem artystą. Przyglądam się swojemu krajowi i poszukuję ludzkiej duszy”.

GEORGE CLACK  
REDAKTOR NACZELNY



## *Whitmanowskie wtajemniczenie*

---

Wprowadzeniem do Ameryki były dla mnie wiersze Walta Whitmana, czytane nie po angielsku, ale w przekładach – bardzo jednak mi się podobały. Whitman ukazywał mi się poprzez mit o sobie samym, który stworzył i który był zarazem mitem o Ameryce.

Muszę tutaj dodać, że nigdy nie wyzwoliłem się z tej whitmanowskiej wizji i że towarzyszyła mi ona podczas długiego pobytu w Ameryce i lektury wielu amerykańskich pisarzy. Myślę, że było to dobre wprowadzenie, bo zarazem wyzwalało od nadmiernego przywiązania do pewnych zachodnioeuropejskich wzorów i otwierało mnie na nowy wymiar rzeczywistości. Zapytywany o to, jakiego poetę amerykańskiego cenię najwyżej, zawsze odpowiadałem: Walt Whitman.

Jeżeli chodzi o poezję polską, to przekłady z Whitmana ukazują się już w XIX wieku, ale czas jego wtargnięcia do poetyki polskiej określiłbym w przybliżeniu jako rok 1912, czyli odbyło się to równocześnie z początkami

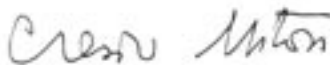


nowoczesnej poezji. Oczywiście z początku czytano go jako barda demokratycznych przemian i jako wroga monarchii. Z tego też powodu opowiadałem moim studentom o tym, co wyczytałem u pewnego jugosłowiańskiego badacza. Mianowicie, że to Walt Whitman był odpowiedzialny za wybuch I wojny światowej, bo entuzjastyczny jego wielbiciel Gawryło Princip zamordował arcyksięcia Franciszka Ferdynarda w 1914 roku.

To zdarzenie, wskazujące na wpływ działania poezji na wypad-

ki historyczne, skądinąd przywo-  
dziło na myśl epokę romantyz-  
mu, która tak silnie naznaczyła  
kilka pokoleń poetów, łącznie z  
mim. Być może tutaj kryje się  
klucz mojego zadomowienia w  
Whitmanie, w jego zwielokrot-  
nieniu własnego ego, które stale  
ukazuje się jako ponadindywi-  
dualne. Moja własna poezja,

tłumaczona na język angielski,  
przynosiła więc poezji amerykań-  
skiej być może to, co w jakichś  
głębokich warstwach było tak  
naprawdę whitmanowskie. ■



CZESŁAW MIŁOŚZ  
MARZEC 2004



*Pisarze o Ameryce*



# Elmaz Abinader

## I. PRZEKRACZAJĄC PRÓG

Kiedy byłam dzieckiem, wierzyłam, że mój dom ma magiczne drzwi. Za tymi drzwiami rozciągało się małe miasteczko w Pensylwanii, w którym dorastałam. Ulica Główna, biegnąca tuż obok naszego domu, miała wszystkie elementy charakterystyczne dla centrum miasta: bank, kiosk, sklep z artykułami metalowymi, sklep z częściami samochodowymi oraz inne punkty sprzedaży detalicznej. Rodziny, zwłaszcza w weekendy, wypuszczały się na spacer ulicami miasteczka: oglądano meble w wielkim oknie wystawowym Kaufmana, plakaty filmowe za szkłem w kinie Rex, manekiny bez rąk lub palców w oknie wystawowym sklepu mojej ciotki, eksponujące najnowszą modę. Na początku lat sześćdziesiątych w miasteczkach takich jak Masontown małe firmy zaspokajały z powodzeniem potrzeby mieszkańców w zakresie żywności, ubrań i wyposażenia domów.

Sklepy należące do mojej rodziny znajdowały się również na ulicy Głównej: sklep obuwniczy Nadera, dom towarowy Nadera, restauracja



Modernnaire. Na oko niczym się nie różniły od podobnych im zakładów: miejscowe mamy mogły u nas kupić dzieciom buty odpowiednie do kościoła, na ojców czekały cygara dobrego gatunku i gazety, dzieciaki mogły poszaleć po szkole przy szafie grającej. Ojciec i wujek czekali na gości w drzwiach swoich zakładów, nienagannie ubrani: szare garnitury, białe koszule, krawaty, wyglansowane buty.

W tamtym czasie dla mnie, uczennicy drugiej klasy, nie było żadnej różnicy pomiędzy ojcem i wujkiem a przechodniami mijającymi sklep. Wielu mieszkańców

miasteczka posyłało dzieci na lekcje gry na pianinie do pani Duffy, robiło zakupy w sklepie A&P i urządziło grilla w przydomowych ogródkach w Dzień Niepodległości. Dzieci klientów mojego ojca uczyły się tak jak ja w All Saints School. Córki jeździły łśniacymi rowerami, ze wstążeczkami u kierownicy. Jeannie i Renee, które wiodły prym w szkole, przychodziły zawsze w nienagannie błyszczących bucikach firmy Mary Jane i rozmawiały głośno o swoich rosnących kolekcjach dodatków do lalek Barbie. Słuchałam zafascynowana opisów domku dla Barbie, samochodu i części garderoby. Widzę Jeannie, jak opisując suknię balową Barbie okręca na palcu kucyk swoich blond włosów. Albo Renee, kiedy chwalać się zdjęciami z wycieczki do Virginia Beach, bawi się przylizanym loczkiem.

W takich właśnie chwilach wrażenie podobieństwa do koleżanek z klasy pękało jak bańka mydlana. Pomimo że nosiłyśmy takie same mundurki szkolne, należałyśmy do skautów, śpiewałyśmy w chórze sopranem i byłyśmy dobre w ortografii, dzieliły nas owe magiczne drzwi. Koleżanki nie wiedziały, co kryje się za tymi wrotami, ale dukały mi na placu zabaw, wyśmiewając moje ciemne włosy – tak mocno poskręcane, że nie dawało się ich uczesać w porządne warkocze – i moje oliwkowe ramiona, porośnięte mahoniowymi włoskami.

Serce mi się krajało w poczuciu osamotnienia.

Wlokłam się do naszego domu o szarych dachówkach, dźwigając tomister z książkami, przygnieciona ciężarem odmienności dzielącej mnie od dziewczynek, które skakały przez gumę po drugiej stronie ulicy. Gdy pociągałam za srebrną aluminiową klamkę siatkowych drzwi prowadzących do holu domu, spod kciuka odpryskiwała rdza. Same drzwi nie miały w sobie nic specjalnie czarownego, ale gdy przekraczałam ich próg, zmienił się cały świat.

Już w holu owiewał mnie jeden z moich ulubionych zapachów płynących z jadalni. W środy mama przykrywała gazetami duży stół, przynosiła ze spiżarni dwa duże niebieskie pojemniki i ustawiała w szeregu blachy do pieczenia. Kiedy wracałam ze szkoły, dom pachniał arabskim chlebem: okrągłe puszyste bochenki, oparte o siebie, leżały w rządkach na stole. Mama piekła trójkątne placki ze szpinakiem, cytrynowe bułeczki, placki owocowe z nadzieniem z gruszek rosnących na naszym podwórku. Na powitanie kierowała w moją stronę twarz brudną od mąki i mówiła: „Przygotowałam 68 placków. Możesz sobie jeden wziąć”.

Zaraz potem dołączały do mnie siostry; usadowione w jednym końcu stołu, podawałyśmy sobie mus jabłkowy i smarowałyśmy ciepłe jeszcze chlebki. Arabski chleb po

wyjęciu z pieca jest wypełniony powietrzem i wygląda jak mała poduszeczka. Po ostygnięciu robi się płaski i przypomina wypiek nazywany przez Amerykanów *pita*. Inne pieczywo było w naszym domu rzadkością; nawet gdy robiliśmy hot dogi z grilla, parówki kładliśmy do przeciętych na pół chlebków *cohb* i polewaliśmy je ketchupem.

Zapach był hipnotyczny i łagodził nieco trud czekających mnie lekcji. Kiedy zjadłyśmy smakołyki, zabawa dobiegała końca. Dzieci było sześcioro, i każde po powrocie ze szkoły miało przypisane sobie obowiązki. Trójka moich braci meldowała się w sklepie, by pomagać przy układaniu towaru i pracach porządkowych; my, trzy dziewczynki, pracowałyśmy w domu i ogrodzie. Latem pielienie, podlewanie, zbieranie warzyw; jesienią praca w piwnicy: robienie przetworów z owoców, fasoli i ogórków. Między jedną a drugą porą roku czekały nas nie kończące się stosy prania, prasowanie i sprzątanie, niezbędne do utrzymania w porządku niewielkiego domu i jego dziewięciu mieszkańców. Lalki Barbie, książeczki do kolorowania, zajęcia sportowe po szkole – to był świat innych dzieci.

Za magicznymi drzwiami zmieniał się także język. Matka wydawała córkom polecenia po arabsku; z kolei przy odrabianiu lekcji, w rozmowach i przy odmawianiu różańca w użyciu był angielski.

Trzy sprawy dominowały w naszym życiu: oddanie Bogu, posłuszeństwo wobec rodziców i dobre stopnie w szkole. Najmniejsze odstępstwo lub błąd w którejkolwiek z tych dziedzin spotykały się z natychmiastową i surową karą. Reputacja rodziny zależała od naszej perfekcyjności. Rodzice nie mieli pojęcia, że ich walczące o doskonałość córki musiały znosić dokuczliwość ze strony rówieśników.

Nasze kontakty ze społecznością „po drugiej stronie drzwi” nie odgrywały w domu wielkiej roli. Żyliśmy w obrębie własnego środowiska, spotykając się razem w weekendy i latem. W takie dni krewni z miasteczek w Pensylwanii i Ohio wypełniali salon i jadalnię, tłoczyli się wokół stołu uginającego się pod słynnymi potrawami arabskimi mojej matki: *hummus*, kurczak w fasoli, *baba ghanouj*, bakłażan z sezamem, faszerowane liście winogron, kebab, *kibbee*, surowa lub smażona jagnięcina, paszteciki z kaszy pszennej, udziec jagnięcy, indyk faszerowany ryżem i rodzynkami, do tego półmiski pełne przystawek. Arabskie chleby ułożone na talerzach w końcach stołu przypominały drapacze chmur.

Wujek, który jest duchownym, błogosławi potrawy na stole, po czym cały dom wypełnia arabska paplanina. Kuzynowie maczają chleb w sosie, nakładają sałatki, zagryzają z gracją słodkie ciasto *baklava*. Pod koniec posiłku oj-

ciec zaczyna opowiadać historie z dawnych lat, czasem ktoś czyta list z Libanu, toczy się dyskusja o polityce.

Dziewczęta sprzątaję ze stołu, a z adapteru płynie arabska muzyka. Ni stąd, ni zowąd zaczynają się tańce: dorośli, splecieni ramionami, tańczą z przytupem, klaszcząc do

rytmu. My, dzieci, uwijaliśmy się jak pszczołki, zmywając naczynia i obsługując dorosłych; musieliśmy cierpliwie znosić podszczypywanie w policzki i podnoszenie do góry.

Sceny z życia rodzinnego sprawiały mi radość i dawały poczucie przynależności; ale nie było to coś, o czym mogłabym opowiadać „po



drugiej stronie drzwi”. Na szkolnym podwórku jeszcze bardziej by mi dokuczano. Wystarczało mi to, że odstawałam wyglądem i że ojciec mówił po angielsku z wyraźnym akcentem. Gdybym zaczęła opowiadać o rodzinnych potańcówkach, patrzono by na mnie jak na społecznego wyrzutka.



## II. NARODZINY PISARKI

Społeczność w college’u była stokrotnie liczebniejsza niż ludność mojego rodzinnego miasteczka. Przemierzałam teren kampusu zafascynowana tym, co widzę. Minąwszy szereg drzew ginkgo, wchodziłam do „Katedry Wiedzy” – wieżowca na University of Pittsburgh, w którym mieścił się Wydział Anglistyki. Na pierwszym piętrze imponującego budynku znajdują się „Klasy Narodowe”, tak zaprojektowane, by oddawać różnorodne aspekty danej kultury. W „Klasie Angielskiej” stały ławki wzorowane na ławach w Izbie Gmin, „Pokój Węgierski” zwracał uwagę kwiecistymi ściennymi panelami w kolorze papryki, „Pokój Chiński” zaś, dedykowany Konfucjuszowi, miał okrągłe stoliki i panował w nim nastrój daleki od schierarchizowanego porządku. Część zajęć mieliśmy właśnie w tych pracowniach; meble były niezbyt wygodne i trzeba było obchodzić się ostrożnie ze sprzętem. Jeden pokój był zamknięty na klucz – wstęp był możliwy tylko za pozwoleniem lub w ramach zwiedzania. Tabliczka na drzwiach informowała, że jest to „Klasa Syryjsko-Libańska”. A więc kolejne drzwi oddzielały zewnętrzny, „amerykański” świat od mojego świata. Naturalnie wspólnie z przyjaciółmi postanowiłam obejrzeć salę.

Za progiem zaparło nam dech z wrażenia. Perskie dywany, różno-

kolorowe lampy, mosiężne stoliki, pod ścianami poduszki. Przepych i egzotyka. Poczulałam się nagle dumna, że mam prawo utożsamiać się z tym pałacem. Zapragnęłam zaznaczyć swoją tożsamość na uniwersytecie: opowiadałam o dziedzictwie i o babci, gotowałam arabskie smakołyki dla przyjaciół, na spotkaniach towarzyskich w domu puszczałam nagrania Oum Khalthoum.

Wkrótce jednak zrozumiałam, że moja demonstracja arabskości przydaje mi jedynie egzotyki. W programie studiów nie było tematów arabskich, w telewizji jedyną osobą kojarzoną z Libanem był Danny Thomas, a przyczynkiem do zrozumienia mojej kultury stał się film „Lawrence z Arabii”. Tymczasem wydarzenia na Bliskim Wschodzie sprawiły, że nastawienie w Stanach Zjednoczonych było dalekie od proarabskiego. Z czasem negatywne odczucia wobec Arabów przybrały na sile. Odczuwałam rosnącą nieufność, często również ze strony kolegów.

**N**ie przestawałam pisać. Napiisałam wiersz o wyjeździe mamy z Libanu i zakładaniu domu w Stanach Zjednoczonych; opowieść o dziadku, który w czasie pierwszej wojny światowej doświadczył losu uchodźcy; opisałam przygody ojca, kiedy jako młody człowiek zajmował się

w Brazylii handlem kauczukiem. Tematy te drzemały we mnie, intuicyjnie wyzwalalam je w postaci opowiadań i wierszy.

Moje pisarstwo jednak dotyczyło tego, co działo się po mojej stronie drzwi. Literatura, którą poznawałam na zajęciach – w czasie studiów licencjackich i magisterskich – była mi równie obca, jak lalki Barbie w dzieciństwie. Wśród poznawanych pisarzy sporą grupę stanowili mężczyźni o europejskiej tożsamości, piszący z elokwencją o głównym nurcie kultury amerykańskiej. Ja zaś w swoim pisarskim kąciku układałam opowieści o śmierci dzieci z naszej libańskiej wioski podczas ottomańskiego oblężenia. Muzyka w mojej poezji brzmiała obco dla amerykańskich uszu; moje obrazy były jak miniaturki skrzące się brokatem i wschodnim przepychem, niepodobne do literatury lat siedemdziesiątych.

Nie czułam się mile widziana po drugiej stronie drzwi.

Ale nie ustawałam w poszukiwaniach. W trakcie moich peregrynacji natrafiłam na książkę, która wszystko zmieniała. Przyciągnął mnie już sam tytuł: „The Woman Warrior”<sup>1</sup>. Autorka nazywała się dość nietypowo: Maxine Hong Kingston. Na kartach książki odkryłam babcię snującą opowieści, córki, które w oczach rodziny były zbyt amerykańskie, kulturę, która

<sup>1</sup> Kobieta wojownik (przyp. tłum.).



dla ludzi z zewnątrz uchodziła za obcą. Autorka pisała o tym, co dzieje się za jej drzwiami. Ta książka nie tylko ukazała mi kanon literatury chińsko-amerykańskiej, ale pomogła mi też odkryć pisarzy afroamerykańskich, latynoskich i indiańskich, w których twórczości przewijały się podobne problemy: kwestia przynależności, tożsamości, osamotnienia kulturowego, środowiska społecznego, egzotyki.

Dźwięki mojej muzyki wciskały się przez szczeliny i wpęzwały pod próg moich drzwi, odgłosy tanecznych przytupów dopełniły reszty – i oto drzwi otworzyły się na oścież. Toni Morrison zapytano kiedyś: „Czy pisze pani z powodu rasizmu?” Odpowiedziała: „Piszę p o m i m o rasizmu”. Pisarze upominali się nie tylko o należne im miejsce w literaturze, ale także o swoje miejsce w historii.

Uczestnictwo w akcjach społecznych było dla mnie zawsze istotną formą życia obywatelskiego. W obronie „słusznych spraw” maszerowałam, protestowałam, podpisywałam petycje i organizowałam komitety społeczne. Teraz jednak dotarło do mnie, że będąc pisarką, również uczestniczę w życiu obywatelskim. Dobra powieść, piękny wiersz mogą mocniej poruszyć czytelnikiem niż hasła czy przemówienia.

Ponadto odkryłam, że należę do pewnej społeczności: wielu amerykańskich pisarzy i twórców różnych kolorów skóry przemierza

te same co ja obszary, żyje z podwójną wrażliwością, porusza się po przestrzeni, gdzie rodzima kultura wchodzi w konflikt z inną kulturą – cały czas szukając miejsca, które mogliby nazwać domem.

Obecne czasy stanowią wyzwanie dla Amerykanów arabskiego pochodzenia, ponieważ kraje arabskie są często uwikłane w konflikty i polityczne kontrowersje. Im sytuacja staje się trudniejsza, tym większą rolę odgrywa moja „dobra powieść” i „piękny wiersz”. Czytelnicy darzą większym zaufaniem literaturę piękną niż przemówienia i artykuły. Moja miłość do słowa pisanego wiąże się nierozłącznie ze świadomością, że pisanie jest moim obowiązkiem.

Mam też swoje nowe miasteczko. Nie jest związane z żadnym konkretnym miejscem albo, mówiąc inaczej, może istnieć wszędzie. Jego mieszkańcy nie zamykają drzwi i przekraczają bez trudu próg, który pewnego dnia będzie łączyć zamiast dzielić. Jako pisarka opowiadałam o swoim życiu posługując się tworzywem literackim. Jako działaczka społeczna pragnę powiedzieć innym pisarzom etnicznym, że dzielące ich drzwi też mogą się otworzyć, jeżeli tylko będą wystarczająco mocno na nie napierać. ■

**E**lmaz Abinader jest pisarką amerykańską arabskiego pochodzenia, poetką i artystką sceniczną. Jej twórczość była publikowana i prezentowana w całym Stanach Zjednoczonych i na Bliskim Wschodzie. Jej ostatni tom, „*In the Country of My Dreams...*”, zdobył nagrodę Josephine Miles PEN Oakland za rok 2000 w dziedzinie wielokulturowej poezji. „*Country of Origin*”, pierwsza sztuka Elmaz Abinader, zdobyła dwie nagrody „*Drammy*” przyznawane przez Oregon’s Drama Circle. Autorka odbywa obecnie tournée z nową sztuką zatytułowaną „*Ramadan Moon*”. Pierwsza książka, „*Children of the Roojme: A Family’s Journey from Lebanon*” (Norton, 1991; University of Wisconsin, 1997), zyskała powszechne uznanie jako zapis doświadczeń imigracyjnych jednej rodziny. Elmaz Abinader wykłada w Mills College w Oakland w Kalifornii.

Po uzyskaniu tytułu magistra w zakresie poezji na Columbia University, gdzie studiowała wspólnie z Philipem Levinem, uzyskała stopień doktorski w zakresie twórczego pisania. Stypendium podoktoranckie w dziedzinie nauk humanistycznych zaowocowało współpracą z powieściopisarką Toni Morrison nad książką „*Children of the Roojme*”. W pierwszych latach

kariery pisarskiej Abinader zdobyła nagrodę *Academy of American Poets*. W ramach programu Fulbrighta przebywała niedawno w Egipcie.

Jej poezja została pierwszy raz zaprezentowana czytelnikom w zbiorze „*Grape Leaves. A Century of Arab-American Poetry*” (Gregory Orfalea i Sharif Elmusa, University of Utah Press, 1988). Stworzyła też utwory okolicznościowe, między innymi wiersze z okazji setnej rocznicy urodzin Gibran Khalila Gibrana i wiersz opiewający dokonania muzyczne Marcela Khalife’a. Jej utwory są zamieszczane w wielu antologiach.

Prowadząc przez wiele lat zajęcia z twórczego pisania, Elmaz Abinader zwracała szczególną uwagę na prace młodych, „kolorowych” pisarzy; uczestniczyła między innymi w Hurston-Wright Writers’ Week West oraz Voice of Our Nations Arts Foundation.



# Julia Alvarez

Nigdy nie zostałamby pisarką, gdyby moja rodzina nie wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, kiedy miałam dziesięć lat.

Moje dzieciństwo przypadło na lata pięćdziesiąte i upłynęło w rządzonej po dyktatorsku Republice Dominikany, zajmującej połowę wyspy na Karaibach. Istniała tam wprawdzie wysoko rozwinięta tradycja gawędziarska, lecz nie było kultury literackiej. Dorastałam wśród ludzi uważających czytanie za działalność aspołeczną, która może przyczynić się do utraty zdrowia, a już na pewno wygnać z życia wszelką radość.

W mojej rodzinie nikogo – a zwłaszcza nas, dziewczynek – nie zachęcano do czytania i nauki. Babka dobrnęła zaledwie do czwartej klasy i nieraz opowiadała, że w dzieciństwie sięgała po książkę dopiero wtedy, kiedy rozlegał się ryk osła, na którym nauczyciel dojeżdżał do jej położonego na wzgórzu domu.

Chłopcy musieli kosztem wielkiego *sacrificio* zdobyć wykształcenie, żeby móc później zarabiać na życie – lecz i oni kształcili się



z umiarem. Mój kuzyn uchodził za dziwaka, bo nie tylko uwielbiał czytać, ale w dodatku jako nastolatek pisywał wiersze. „*Se va a enfermar*” – mawiała ciotka kręcąc głową, ilekroć zastawała Juana w fotelu, pochłaniającego kolejną książkę. „Jeszcze się rozchoruje”.

Były to czasy represyjnej, groźnej dyktatury. Na zajęciach z nauk społecznych jeden z uczniów napisał wypracowanie, w którym wychwalał dyktatora Trujillo jako prawdziwego ojca narodu. Nauczyciel skomentował, że Trujillo niewątpliwie jest jednym z ojców Dominikany, chociaż nie jedynym.

Chłopiec – syn generała – widocznie opowiedział o wszystkim w domu, bo jeszcze tej samej nocy profesor przepadł bez śladu, a wraz z nim żona i dwójka małych dzieci. Intelktualiści, ludzie, którzy czytali i zadawali pytania, uchodzili za podejrzanych. Książka w rękę uważana była za kontrabandę.

W roku 1960 wyszło na jaw, że ojciec uczestniczy w podziemnej działalności opozycyjnej. Musieliśmy w pośpiechu opuszczać kraj. Wylądowawszy na amerykańskiej ziemi, staliśmy się kolejnymi „spikami” – latynoskimi imigrantami bez pieniędzy i widoków na przyszłość, którzy mówią po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. Z dnia na dzień straciliśmy wszystko: ojczyznę, dom, rodzinę. No i język, bo przecież hiszpański był językiem ojczystym, językiem *la familia*, językiem, w którym najlepiej rozumieliśmy samych siebie. Przybyliśmy do Stanów Zjednoczonych w czasach niezbyt sprzyjających „obcym” – ludziom o innym kolorze skóry, których język nie przypomina angielskiego. Po raz pierwszy w życiu przekonałam się, czym są uprzedzenia i okrucieństwo na boisku szkolnym. Borykałam się z niezrozumiałym językiem i kulturą. Tęskniłam za ojczyzną i miałam złamane serce.

Byłam jednak młoda, podobnie jak moje siostry, toteż wszystkie w krótkim czasie stawiliśmy czoło wyzwaniom. Nauczyliśmy się

nowego języka, nowej muzyki, nowego stylu ubierania się i zachowania. Nieoczekiwanie jednak te sukcesy doprowadziły do konfliktu rodzinnego. Rodzice chcieli bowiem nadal wychowywać nas w starym duchu, a zarazem pragnęli, żebyśmy sobie coraz lepiej radziły w nowej kulturze. Jak miałyśmy pilnie się uczyć, dostawać same piątki i przeć do przodu, a jednocześnie ze słodką uległością pozwalać, aby o wszystkim decydował Papi? Jak miałyśmy nie zapomnieć hiszpańskiego, skoro poza domem musiałyśmy mówić wyłącznie po angielsku? Jak miałyśmy trzymać język za zębami przez *respeto* dla rodziców, kiedy w szkole uczono, że należy zabierać głos, a nawet dyskutować z nauczycielami? Jak miałyśmy zawierać przyjaźnie, skoro nie puszczano nas na prywatki i nie pozwalano zostawać na noc u koleżanek, bo ich starsi bracia lub rodzice mogli tolerować zachowanie, które dla moich rodziców było nie do przyjęcia?

Podobnie jak siostry tkwiłam między dwoma różnymi światami, systemami wartości, językami i obyczajami. Musiałyśmy więc – tak jak wielu innych imigrantów przybywających do nowego świata, odmiennego od świata ich dzieciństwa – odpowiedzieć sobie na pytanie: jak podtrzymywać tradycje, pielęgnować dawne korzenie, a jednocześnie rosnąć i rozwijać się w nowej ojczyźnie? Jak znaleźć

twórcze rozwiązania pozwalające połączyć różne światy i wartości, pogodzić tkwiące w nas samych sprzeczności, by stać się ludźmi bardziej ekspansywnymi, a nie zużożonymi wewnątrznie?

Problem w tym, że nikt wtedy takimi kategoriami nie rozumował. W Ameryce wczesnych lat sześćdziesiątych wciąż toczyła się walka o prawa obywatelskie, ruch kobiecy dopiero powstawał, podobnie jak ruch na rzecz wprowadzenia poprawki mającej zagwarantować równe prawa kobietom, nie mówiło się jeszcze o wielokulturowości; wszystko sprowadzało się do sławetnego tygla – modelu, zgodnie z którym wszyscy mieli się zasymilować i włączyć w główny nurt. Od imigranta oczekiwano, że przybywając do Stanów Zjednoczonych zasymiluje się, zerwie z przeszłością i zarzuci dawne zwyczaje, za tę cenę kupując przywilej uzyskania amerykańskiego obywatelstwa.

Czasem jednak takie trudne chwile są bodźcem do ekspansji i samorozwoju. Stałam się ostatecznie hybrydą, co czeka wszystkich tych, którzy przekraczają granice własnego „ja”, opuszczają rodzinne miasto czy ojczyznę. Nie byłam typową młodą Amerykanką, ale przestałam też być dziewczyną z Dominikany i rozpaczliwie pragnęłam znaleźć dla siebie miejsce. Właśnie ta dotkliwie odczuwana samotność i pragnienie przynależności do jakiejś grupy przywiod-

ły mnie ku książkom. Zżerana tęsknotą za ojczyzną, samotna w Ameryce, przekonałam się niebawem, że świat wyobraźni może stać się przenośną ojczyzną, w której każdy znajdzie dla siebie miejsce. Zaczęłam marzyć, że może i mnie dane będzie tworzyć światy, do których nikt nikomu nie będzie bronił wstępu.

Tak naprawdę więc weszłam do tego kraju przez szeroko otwarte drzwi jego literatury. Czytając Walta Whitmana usłyszałam obietnicę Ameryki i pokochałam nową ojczyznę. „Słyszę, jak śpiewa Ameryka, rozmaitych słucham jej pień”. Whitman nie zgadzał się z twierdzeniem, że cała nasza wielorakość powinna ulec stopieniu w jeden standardowy model. Mówił bowiem: „Wielka jestem, szerokie mieszczę rzesze”. Ten kraj był narodem narodów, kongregacją ras. „Opieram się wszystkiemu, co lepsze jest niż moja różnorodność”.

Czy aby tak wolno? – myślałam, oglądając się za siebie. Czy nie jest to działalność wywrotowa? Bądź co bądź jednak wiersze Walta Whitmana były zamieszczone w moim podręczniku do angielskiego, w którym autora określano mianem „piewcy Ameryki”. Whitman mówił, czym jest ten kraj. Chociaż Ameryka najwidoczniej zapomniała o własnych obietnicach, jej pisarze pamiętali je i nam także o nich przypominali.

**Z**wolna i nie bez oporu Ameryka zaczęła słuchać. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kraj wokół mnie zaczął się zmieniać. Pod presją grup spychanych dotychczas na margines, i pod naporem rosnącej liczby imigrantów, naród zmuszony był uznać własną różnorodność i szerzej otworzyć drzwi. Obywatele domagali się od Ameryki dotrzymania obietnic. Kiedy po raz pierwszy wzięłam udział w marszu na rzecz wprowadzenia poprawki mającej zagwarantować równe prawa kobietom, i nie wylądowałam na koniec w mrocznych lochach tajnej policji, zrozumiałam, że wolny kraj niekoniecznie musi być wolny od problemów, nierówności, a nawet hipokryzji. Plagi te są nierozdzielnie związane z kondycją ludzką. Wolność stwarzała szansę kształtowania kraju, wnoszenia wkładu w nieustający, nigdy przedtem nie podjęty eksperyment scalenia wielu narodów w jeden przy zachowaniu zasad wolności i powszechnej sprawiedliwości. Nie była to czcza retoryka. Mieliśmy prawo i obowiązek doprowadzić do realizacji tych haseł z myślą o nas i o innych.

Zmiany dokonujące się w narodzie zaczęły znajdować odzwierciedlenie w rodzimej literaturze. Odkryłam, że prócz Walta Whitmana istnieje jeszcze Langston Hughes.

*Ja także opiewam Amerykę  
Jestem smaglejszym bratem.*

*Każą mi jeść w kuchni,  
Kiedy przychodzą goście,  
Ale ja się śmieję,  
Jem ze smakiem  
I silny rosnę.*

*Jutro*

*Zasiądę do stołu  
Kiedy przyjdą goście.  
Wtedy już nikt  
Nie ośmieli się  
Powiedzieć mi:  
„Idź jeść w kuchni”.*

*A zresztą*

*Zobacz, jaki jestem piękny  
I będzie im wstyd –*

*Ja też jestem Ameryką.*

Brzmiało to w moich uszach jak najładniejsza muzyka! Rozumiałam, co Hughes chce powiedzieć: upominał się o swoje miejsce w chórze intonującym amerykańską pieśń. Dla młodej dziewczyny, wyrosłej z innej kultury, języka i historii, głos ten zawierał bardzo ważne przesłanie.

Ale świat wydawniczy nie nadążał za zmianami. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych zaczęłam rozsyłać propozycje własnych utworów, okazało się, że dużym domom wydawniczym i rynkowi nastawionemu na literaturę „głównego nurtu” nie spieszo było podjąć ryzyko publikowania nowych głosów.

Z czasem jednak zauważono, że literatura afroamerykańska stała się ważnym elementem programu nauczania na wielu uczelniach. Czytelnicy wykupywali książki takich autorów, jak Alice Walker, Toni Morrison, Oscar Hijuelos, Sandra Cisneros, Maxine Hong Kingston, Amy Tan, Gish Jen. Ameryka literacka zmieniła karnację.

W roku 1991 ukończyłam czterdzieści jeden lat. I oto po ponad ćwierćwieczu zmagam pewne małe wydawnictwo, skłonne zaryzykować druk książek nowej autorki, opublikowało moją pierwszą powieść „How the García Girls Lost Their Accents”. Po jedenastu latach książkę włączono do programu nauczania w wielu szkołach średnich i wyższych. I tak oto również i ja mogę nareszcie opiewać Amerykę.

Opowiadam historię mojej walki o zostanie amerykańską pisarką, bo podobną walkę prowadziła cała Ameryka, by stać się krajem bardziej otwartym i bardziej reprezentatywnym. To, że miałam sposobność uczestniczyć w tym historycznym procesie, uważam za uśmiech losu i zaszczyt. Ameryka podarowała mi możliwość odkrycia i rozwoju talentów. Nigdy nie zostałabym pisarką, gdybym w roku 1960 jako mała dziewczynka nie przybyła do tego kraju.

Kilka miesięcy po naszym przyjeździe do Stanów Zjednoczonych prezydent Kennedy wypowiedział pamiętne słowa: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie; zapytaj raczej, co ty możesz zrobić dla swojego kraju”. Jeżeli chodzi o mnie, mogę spłacić dług zaciągnięty wobec nowej ojczyzny pomagając innym wykorzystać daną im szansę. „Wolnym jest się po to, by nieść wolność innym” – napisała Toni Morrison. Poprzez pracę i udział w wyborach przyczyniam się do wzbogacenia i urozmaicenia całości. Czynna i zaangażowana obecność obywateli takich jak my, reprezentujących różne grupy etniczne, rasy, tradycje i języki skłania Amerykę do wykazywania większego zrozumienia i współczucia, co zarazem umacnia nas jako naród. Dajemy literaturze amerykańskiej zastrzyk świeżej energii. Wzbogacamy chór o nowe rytmy, modulacje, wątki i tradycje.

Lecz moja odpowiedzialność nie ogranicza się do Ameryki. W odróżnieniu od dawnego modelu imigracji, wielu obecnych imigrantów powraca do krajów pochodzenia. Z uwagi na dużą migrację i przemieszczanie się ludności, tak charakterystyczne dla drugiej połowy minionego stulecia, większość z nas nie mieści się już w ciasnych definicjach tożsamości rozumianej jako miejsce urodzenia. W ubiegłym roku w Kalifornii poznałam



*Skoro moje korzenie (opowieści, historia,  
tradycja, hiszpańskie i  
karaibskie rytmy)  
wyrastają z Ameryki  
Południowej (...) jestem  
pisarką zaiste  
wszechamerykańską.*





„Afrodominikoamerykani-  
na” ożenionego z Japonką.  
Ich synek zatem był „Afro-  
dominikojapoamerykani-  
nem”. Moja siostra, tak jak  
ja urodzona w Dominika-  
nie, wyszła za Duńczyka.  
Jej dzieci znają duński, an-  
gielski i hiszpański. A co  
najchętniej jadają? *Arroz  
con habichuelas* do śledzi  
w marynacie. Ziemia staje  
się planetą międzyraso-  
wych i międzykulturowych  
krzyżówek. Potrzeba otwar-  
tego umysłu, wielkiego  
serca i współczującej wy-  
obraźni, by zaakceptować  
wielość kombinacji, które  
składają się obecnie na naród  
i ludzką rodzinę. Walt  
Whitman przypomina nam:  
„Stany Zjednoczone same  
w sobie tworzą najwspaniał-  
szy poemat. (...) Nie naród  
to zwyczajny, lecz rojny  
naród narodów (...) a bard  
amerykański kosmosem  
będzie (...) rzecz każdą go-  
tów dalej podać każdemu”.

Stworzyć tego rodzaju  
naród to zarazem wypra-  
cować taki model świata,  
w którym znajdzie się  
miejsce dla wszystkich.  
Lecz taką Amerykę zbu-  
dować da się jedynie  
wtedy, gdy każdy będzie  
mógł zachować cechujące  
go bogactwo wewnętrzne

i całą złożoność. Należy unikać  
niebezpiecznych ciągów do nakła-  
dania ograniczeń, zamykania się w  
bunkrach własnej rasy czy grupy  
etnicznej i zapominania, że z *plu-  
ribus* musimy uformować *unum*  
– jedną ludzką rodzinę.

Powiedziałabym nawet więcej:  
zaakceptować samych siebie z  
całą złożonością i bogactwem, a  
zarazem zaakceptować różnorod-  
ność innych istnień ludzkich, to  
zadanie dla nas nie tylko jako  
Amerykanów, lecz jako ludzi. Zgła-  
dzony w obozie koncentracyjnym  
poeta francuski Robert Desnos  
powiedział: „Człowiek nie tylko  
winien być sobą, lecz ma stawać  
się każdym”. Rzymski niewolnik  
Terencjusz, który dzięki pisarstwu  
odzyskał wolność, ujął to jeszcze  
inaczej: „Człowiekiem jestem i  
nic, co ludzkie, nie jest mi obce”.  
W pełni wykorzystując dane każ-  
demu z nas możliwości, nigdy nie  
zapominając o obowiązku poma-  
gania innym w dążeniu do tego sa-  
mego celu, mamy szansę stworzyć  
taki naród i taki świat, w którym  
każdy będzie u siebie i odnajdzie  
własną pieśń.

W tym duchu coraz bardziej  
uważam się za pisarkę amerykań-  
ską – jednak nie w znaczeniu  
narodowym, lecz odnoszącym się  
do całej półkuli. Skoro moje korze-  
nie (opowieści, historia, tradycja,  
hiszpańskie i karaibskie rytmy)  
wyrastają z Ameryki Południowej,  
a wykształcenie, doświadczenie

i rozkwit zawdzięczam północnej  
części półkuli, jestem pisarką za-  
iste wszechamerykańską:

*Ja także opiewam Amérikę*

*Wiem, że mawiano tak już nieraz,  
ale jeszcze nigdy tym głosem,*

*w którym są plátano  
i mango,  
marimba y bongó,  
nie w tym sancocho,  
upichconym z inglés  
con español.*

*Ay sí,  
teraz moja kolej  
powiedzieć, och,  
co widzę,  
więc będę opiewać Amerykę!*

*z całą Amériką  
we mnie:  
od podeszew*

*Tierra del Fuego  
po wąską kibić  
Chiriquí*

*przez kręgosłup Missisipi  
i serce krainy*

*Yanquisów*

*aż do wielkiego płaskiego oblicza*

*Kanady –*

*wszyscy*

*opiewamy Amerykę,*

*cała tej półkuli*

*familia*

*ryczy na całe gardło swoją cancion:*

*śpiewem wplatamy swoją brunatną*

*skórę*

*w tę biało-*

*czerwono-niebieską pieśń –*

*aż powstaje wielki hymn,  
który opiewa  
całą Amerykę,  
el canto  
que cuenta  
con toda America:  
una nowa pieśń!*

*Ya llegó el momento,  
nasza chwila  
pod słońcem –  
ese sol, które świeci  
wszystkim.*

*Wal więc, maestro!  
graj nam ten latynoski rytm,*

*!Uno-dos-tres!*

*Raz-dwa-trzy!*

*Ay sí,*

*(y dwujęzycznie):*

*Yo también soy América*

*Ja też jestem Ameryką ■*

---

Cytowany wiersz Langstona Hughesa pochodzi z tomu „The Collected Poems of Langston Hughes”. © Copyright by Estate of Langston Hughes 1994. Przedruk za zgodą wydawnictwa Alfred A. Knopf, filii Random House, oraz Harold Ober Associates.

**C**hociaż Julia Alvarez była jeszcze dzieckiem, kiedy z ojczystej Republiki Dominikany przyjechała do Stanów Zjednoczonych, jej twórczość literacką w języku angielskim przesycła hiszpańskojęzyczne dziedzictwo. Uzyskawszy w roku 1980 stypendium Phillips Andover Academy, wzięła „urlop na całe lato, żeby spróbować sił w tworzeniu fikcji literackiej, ponieważ moje wyspiarskie korzenie głęboko tkwiły w tradycji gawędziarskiej, z którą chciałam poeksperymentować w formie prozy”. Między innymi dzięki tej właśnie decyzji została powieściopisarką i autorką wierszy zdobywających prestiżowe nagrody, a także autorką książek dla młodych czytelników.

Wydawała powieści „*How the García Girls Lost Their Accents*” (Chapel Hill: Algonquin Books, 1991) oraz „*In The Time of the Butterflies*” (Algonquin, 1994), dwa tomy wierszy: „*The Other Side*” (Dutton, 1995) i „*Homecoming: New and Collected Poems*” (Nowy Jork: Plume, 1996), a następnie dwie kolejne powieści: „*!YO!*” (Algonquin, 1997) i „*In the Name of Salome*” (Algonquin, 2000). Opublikowała też wiele innych utworów.

W roku 1971 uzyskała tytuł licencjacki w Middlebury College w Vermontie, a w roku 1975 stopień magistra na wydziale

twórczości pisarskiej w Syracuse University. Prowadziła zajęcia w ramach Bread Loaf Writers Conference i wykladała w Phillips Andover Academy, University of Vermont, George Washington University w Waszyngtonie oraz University of Illinois w Urbanie. Obecnie jest pisarką-rezydentką w Middlebury College.

W roku 2000 czasopismo „*Latina Magazine*” nadało jej tytuł Kobiety Roku. W tymże roku w ramach oficjalnej delegacji USA uczestniczyła w Republice Dominikany w uroczystości objęcia urzędu przez nowo wybranego prezydenta. Stowarzyszenie bibliotekarzy nowojorskich New York Librarians wpisało powieść „*How the García Girls Lost Their Accents*” na listę dwudziestu jeden klasycznych pozycji XXI wieku. W roku 1994 tom „*In the Time of the Butterflies*” został wyróżniony przez American Library Association, a następnie wpisany na listę Book of the Month Club. Wiersz Julii Alvarez „*Bookmaking*” ukazał się w tomie „*The Best American Poetry 1991*”. Kolejnym z zaszczytnych wyróżnień jest wybór pisarki do Krajowej Rady Amerykańskiego PEN Clubu.

„Ponieważ współpracuje obecnie z placówką w górach Republiki Dominikany, gdzie w ramach samowystarczalnego gospodarstwa rolnego działa

*także ośrodek walki z analfabetyzmem, zainteresowałam się literaturą dziecięcą” – pisze Alvarez. Pokłosiem tego są wydane w ostatnich latach „trzy książki dla młodych czytelników”, m.in. „The Secret Footprints” (Nowy Jork: Knopf, 2000) i „How Tia Lola Came to Stay” (Nowy Jork: Knopf, 2001).*



# Sven Birkerts

Przez ostatnie cztery lata pracowałem nad pamiętnikiem z okresu dojrzewania, który w pierwotnym założeniu miał ukazywać z różnych perspektyw drogę, jaką przebyłem od freudowskiego znaku równości między pracą i miłością po odkrycie w sobie powołania pisarskiego. Jak się jednak okazało, pamiętnik był w znacznie większym stopniu, niż się spodziewałem, zapisem moich zmagañ z własnym dziedzictwem, próbą zrozumienia, jak to możliwe, że drzewo o tak łotewskich korzeniach mogło wydać owoc tak bardzo amerykański. I kiedy ukończywszy niedawno pamiętnik miałem wrażenie, że udało mi się wreszcie rozwikłać najważniejsze z zagadnień dotyczących kształtowania się mojej tożsamości, to po pokazaniu zapisków rodzicom i rodzeństwu przekonałem się, że w kręgu rodzinnym – tym obszarze tradycji o trwałej sile przyciągania – potwierdziłem tylko swój kłopotliwy status odszczepieńca. Pytanie, jak bycie Amerykaninem wpłynęło na moje życie jako pisarza, pozostaje równie ważne jak niegdyś.



Garść faktów biograficznych: urodziłem się w Pontiac w stanie Michigan w roku 1951, w rodzinie łotewskich imigrantów, niewiele wcześniej przybyłych z Niemiec, dokąd trafili pod koniec wojny. Oboje rodzice mieli artystyczne korzenie. Ojciec matki był malarzem, absolwentem Akademii Moskiewskiej, dziadkowie zaś ze strony ojca byli literatami: babcia była folklorystką, filologiem i nauczycielką, dziadek autorem wielu książek z zakresu psychologii, socjologii i kultury ludowej.

Choć kultura łotewska, a w szczególności język, była w na-

szym domu świętością, rodzice w przeciwieństwie do wielu innych Amerykanów łotewskiego pochodzenia nie byli nadmiernymi purystami kulturowymi. Uważali raczej, że udaje im się płynąć na fali wyemancypowanego modernizmu, i chętnie dostrajali się do współczesności. Mój ojciec, ambitny młody architekt, pracował w legendarnej firmie Eero Saarineny w Bloomfield Hills, siedząc ramie w ramie z takimi młodymi projektantami, jak Kevin Roche, Robert Venturi, Cesar Pelli czy Charles Eames. To tu układano pieśń nowoczesności, pieśń międzynarodowego języka formy, nawet gdy – jak w przypadku mojego ojca – przebijająca się przez nią, czy nawet w jakimś stopniu jej zaprzeczała, głęboko zakorzeniona potęga kultury ludowej starej ojczyzny.

Ja sam nie przeżywałem kryzysu tożsamości – w każdym razie nie byłem tego świadomy. Obsesją prześladowającą mnie przez wszystkie lata dorostania była chęć zatarcia wszelkich śladów mojej obcości, czy inności, i zostanie stuprocentowym Amerykaninem. Trwałem w niej uparcie – i przeżywałem katusze. Tak dobrze wiedziałem, czego pragnę. Chciałem wpasować się w schemat reprezentowany przez dzieciaki z podwórka i szkoły. Chciałem być wyluzowanym, wysportowanym kolesiem o imieniu Bob czy Mark, czy ksywce w rodzaju „Chip”, z normalną,

krótko przyciętą fryzurą (niestety, natura obdarzyła mnie gęstymi, kręconymi włosami) i w miarę normalnie zachowującymi się rodzicami; chciałem szpanować nowym fordem (moi rodzice zawsze kupowali zagraniczne samochody) i rękawicą, w której ćwiczyłbym grę w baseball na podwórzu z ojcem (który przez tyle lat – a dochodzi już osiemdziesiątki – o ile mi wiadomo, nigdy nie założył rękawicy baseballowej).

Nie było to szczególnie wygórowane marzenie, ale równie dobrze mógłbym marzyć o zostaniu wojownikiem ninja albo gaucho na argentyńskiej pampie. Jakkolwiek wyglądało to z zewnątrz, patrząc z perspektywy moich tyrańskich wymagań, nie mieliśmy nawet szansy się dopasować. Byliśmy obcymi w obcym kraju. Mój ojciec nie miał na imię Jack ani Ted, lecz Gunnar, matka nosiła imię Sylwia. Mnie nazwano, pożałujcie, Sven; protestowałem przeciwko temu na początku każdego roku szkolnego przedstawiając się jako Peter – „Pete” (tak brzmiało moje drugie imię). Nic nie mogłem poradzić na to, że w domu mówiliśmy po łotewsku, a moi rodzice nie mieli oporów przed używaniem tego języka także w miejscach publicznych. Każde rodzinne wyjście oznaczało dla mnie ciężki stres związany z nieuniknioną eksplozją rodzimego języka. Jeśli chodzi o nasz dom, całe wnętrze składało się ze szkła

i kantów, bez śladu przytulności. Nigdy nie zapraszałem kolegów.

I tak, tęskniąc całym sobą do amerykańskiej normalności i płonąć źle skrywanym wstydem z powodu najdrobniejszego śladu inności, siedłem przez życie odgrywając swoją rolę, naśladowując szczęśliwych kolegów, przywdziewając coraz to nową maskę, podkreślając każdym wyuczonym gestem, każdym potocznym zwrotem przynależność, do której tak naprawdę nigdy się nie poczuwałem. „Hej, Rick, posiedzisz trochę z nami?” Na co ja: „Nie, spadam na chatę, muszę pomóc staruszkowi”. Była to całkowita maskarada, która trwała w różnym nasileniu do czasu, gdy (byłem już wtedy starszym nastolatkiem) eksplozja kontrkultury sprawiła, że bycie „dziwnym” czy „innym” stało się dozwolone, a nawet pożądane.

Od początku więc moje najgłębiej rozumiane poczucie amerykańskości było kształtowane przez fantazje o czymś nieosiągalnym. Nie było w tym nic ekumenicznego, nic z metafory o tyglu, w którym stapiają się kultury. Nie było tam miejsca na nic poza uproszczoną wizją mojego świata: wysportowani młodzi bogowie boiska baseballowego, kibicujący im ojcowie, którzy wiozą synów na mecz swoimi wielkimi amerykańskimi samochodami, szykowne matki rozwieszają-

ce śnieżnobiałe prześcieradła na sznurku w ogrodzie, pakujące do wózków w supermarketach bułki do hamburgerów i kolby kukurydzy.

Byłem zdumiony, gdy czytając wiele lat później „Kompleks Portnoya” (1969) Philipa Rotha odkryłem nagle znajome nuty w fantazjach Alexa Portnoya na temat istoty bycia gojem, których ucieleśnieniem są tutaj marzenia o doskonałej w każdym calu sziksie z lodowiska:

*„Ale co komu po charakterze? Ja chcę pannę Gojównę! W niebieskim skafandrze, czerwonych nausznikach i puszystych białych rękawiczkach – Miss Ameryki na tyżwach! Urzeka mnie jej jemiota, placek śliwkowy (choć nie znam jego smaku), domek jednorodzinny ze schodami i balustradą, no i rodzice, spokojni, cierpliwi, k u l t u r a l n i, a także brat Billy, który umie rozłożyć silnik na części, mówi «Cala przyjemność po mojej stronie», i nie boi się zmysłowości”.*

Oraz w innym miejscu:

*„Też chcę być narzeczonym Debbie Reynolds, wylazi ze mnie Eddie Fisher i tyle, w nas wszystkich, smagłych żydowskich chłopcach, odzywa się tęsknota za tymi uroczyimi złotowłosymi egzotycznymi istotami zwanymi sziksami”<sup>1</sup>.*

<sup>1</sup> „Kompleks Portnoya” w tłum. Anny Kołyszko ukazał się nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka.

*Urodziłem się (...) w rodzinie łotewskich imigrantów, niewiele wcześniej przybyłych z Niemiec, dokąd trafili pod koniec wojny.*



Napęd dla mojego pragnienia był ten sam: miał za cel całą wymyśloną amerykańskość. Choć, oczywiście, wyobrażenie, fantazja może przynosić równie realne następstwa, jak rzeczywiste wydarzenie.

Cóż za dramat autonienawiści! U Rotha miała podłoże etniczne. A u mnie? Kulturowe? Skąd zatem się wzięła? W moim przypadku była to nie tyle kwestia szczególnej niechęci do własnego pochodzenia – choć przez wiele lat tak mi się zdawało – co raczej wiary w prawdziwość obrazów, którymi bombardowano mnie ze wszystkich stron: z billboardów, z reklam w czasopiśmie, z nowo nabytego czarno-białego telewizjo-

ra, z którego płynął nieprzerwanie strumień zachwyty nad możliwą dla każdego amerykańską doskonałością, serwowanych przez programy typu „Ozzie and Harriet”, „The Donna Reed Show”, „My Three Sons” i im podobne, które teraz określamy mianem kiczu. Poprzez moje codzienne zderzenia z tym, czym nie byłem, tworzyłem sobie obraz prawdziwej, wielkiej amerykańskości.

To pragnienie asymilacji nie odegrało szczególnej roli w moim rozwoju jako pisarza. Może tylko pogłębiło moje intuicyjne poczucie inności, bycia kimś obcym, komu nie do końca przysługują „niezbywalne” prawa zagwarantowane w konstytucji. I niewątpliwie na grun-





cie tej świadomości zrodziło się wiele literackich tęsknot. Jednak poczucie inności, zwłaszcza gdy jest się młodym, nie napawa radością. Człowiek poszukuje jakiejś formy przynależności, potwierdzenia, które złagodziłyby poczucie oddzielenia. Kiedy nie znajduje tego w otaczającym świecie, zaczyna poszukiwać środków zastępczych. Jeżeli chodzi o mnie, to, czego szukałem, znajdowałem niemal od samego początku w książkach. Najpierw w eskapizmie i fantazjowaniu, wcielając się w idealnie amerykańskich braci Hardy: Franka i Joego oraz napinających bicepsy sportowców i bohaterów z książek dla chłopców, które dosłownie pochłaniałem.

**A**le wycieczki w świat fantazji były niczym w porównaniu z tym, co zdarzyło się, gdy wkroczyłem w wiek nastolatka. Moje czytelnictwo zmieniło się, stało się bardziej nastawione na literaturę. Poprzez „Buszującego w zbożu”, „Osobny pokój” i powieści Thomasa Wolfe’a zetknąłem się z głosem wyobcowanej dorosłości. Wątki powieściowe się zagęściły, a w mojej postawie wobec życia nastąpił nagły zwrot. Usłyszeć głos Holdena Caulfielda to było jak powrót do domu po długiej nieobecności. Zrozumiałem, że nie byłem osamotniony w poglądach na świat. Wszechświat druku okazał się nagle pełen możliwości. Czytanie, a w efekcie także pisanie, stało się moją deską ratunkową.

Moje niezadowolenie i poczucie wyalienowania połączyło się z wyraźnym wyobcowaniem moich nowych bohaterów. W połączeniu zaś z ogromnymi zmianami w amerykańskiej kulturze: eksplozja rock & rolla, ruch hippisowski, protesty, wszystko to, co znalazło się w kotle kontrkultury lat sześćdziesiątych, zaowocowało zupełnie nową postawą wobec mojego dotychczasowego ideału amerykańskości. W poczuciu frustracji, zły na siebie z powodu narosłego przez lata przekonania o moim wyobcowaniu, w jednej chwili dokonałem gwałtownego zwrotu. Mój dotychczasowy ideał Amerykanina

o kwadratowej szczęce i „jedynie słusznych” poglądach uległ w moich oczach gwałtownej przemianie jako uosobienie mentalności „jast-rzębia”; stał się on teraz (wszyscy moi bohaterowie byli mężczyznami) obiektem mojej najgłębszej pogardy. Kpiłem z tych samych postaci, które wcześniej tak gorąco podziwiałem. Jednocześnie starałem się znaleźć miejsce dla tych, których dotychczas ignorowałem: mówię tu o mniejszościach, ubogich, wszystkich tych, do których zwraca się Allen Ginsberg w „Skowycie”, mojej rewizjonistycznej amerykańskiej biblii. Przyciągały mnie „Blues People” LeRoi Jonesa i „The Wretched of the Earth” Franza Fanona – choćby jedynie ze względu na sugestywność tytułów.

Jak bycie Amerykaninem wpłynęło na mój sposób myślenia, na moją pracę jako pisarza? Może należałoby raczej spytać: jak bycie Łotyszem wpłynęło na moje rozumienie amerykańskości? Wkraczając w okres wczesnej dorosłości, po długim szaleńczym etapie lat sześćdziesiątych, które miały największy wpływ na kształtowanie się mojej osobowości, sądziłem, że czas troski i udręki mam już za sobą. Powiedziałbym nawet, że przestałem już myśleć tymi kategoriami, nie kwestionowałem mojej łotewskości ani amerykańskości. Nie miałem miejsca na wielkie uogólnienia. Byłem zbyt zajęty

kluczowymi sprawami, jak poszukiwanie pracy, miłości i sposobu na zostanie lepszym pisarzem.

Upadek kontrkultury i apatia, która ogarnęła potem społeczeństwo, sprawiły, że wszyscy zajęli się „uprawianiem własnego ogródka”. Tak się przynajmniej wydawało.

Oczywiście zagadnienia te nie znikły – po prostu przestałem je dostrzegać. Kiedy ponownie dały o sobie znać, stało się to niemal niezauważenie; i lata całe musiały minąć, zanim spostrzegłem, co się ze mną dzieje.

Zmiana, przebudzenie, nastąpiło, gdy dobieżałem trzydziestki. Mieszkałem wtedy w Cambridge, z trudem utrzymując się z pracy w księgarni. Byłem bardzo przyciębiony rozpadem długotrwałego związku i całkowicie zablokowany w literackich wysiłkach. Jedynym dla mnie światelkiem, zdrowym punktem odniesienia, były w tym czasie książki. Zawsze byłem namiętnym czytelnikiem, ale w tym szczególnym okresie rzuciłem się na książki z wyjątkowym zapałem. Dni, tygodnie i miesiące mijały, a ja, siedząc na składanym krześle w swoim pokoiku, w mieszkaniu, które dzieliłem z młodym niedoszłym poetą, paliłem papierosy i pochłaniałem powieści. Mówiąc dokładnie, czytałem powieści zagraniczne, europejskie, przełożone na angielski. Czytałem Knuta Hamsuna, Tomasza Manna, Maxa Frischa, Heinricha Bölla i

wielu innych; im autor był mniej znany, tym lepiej. Pociągała mnie sceneria, nastrój tych powieści, to wszystko, co odróżniało je od literatury amerykańskiej czytanej od lat. Nie przypominam sobie jednak, by przy takiej okazji zrodziło się we mnie szczególne zainteresowanie jakimkolwiek aspektem dotyczącym kultury mojego kraju pochodzenia. Po prostu czytałem, przenosząc się na jawie do miejsc o dziwnie znajomych klimatach.

Wtedy to właśnie nastąpił przełom. Moje literackie peregrynacje zaprowadziły mnie do niezwykłego epickiego świata przedwojennego Wiednia, opisanego w „Człowieku bez właściwości” Roberta Musila. I oto wraz z poczuciem duchowego pokrewieństwa pojawiło się coś nowego. Czytanie zaczęło popychać mnie z powrotem w kierunku pisania. Ale tym razem nie fikcja zmusiła mnie do pisania, lecz refleksja. Doświadczałem głębokiej potrzeby przelania na papier różnorodnych odczuć i wrażeń.

Przez wiele tygodni pracowałem nad esejem o Robercie Musilu i jego niedokończonym arcydziele. Przeczytałem wszystko, co zostało przetłumaczone na angielski. Zapoznałem się z książkami o kulturze Wiednia w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku. Wyobrażałem sobie siebie w tym świecie, jak zapuszczam się w wąskie uliczki, parki i kawiarenki, wiodąc obwarowany rytuałami żywot wiedeńskiej

burżuazji. Zdawało mi się, że widzę z niezwykłą wyrazistością rytuały i odcienie tamtego, minionego świata. Nie dostrzegałem tylko rzeczy najbardziej oczywistej. Pojąłem to jednak dopiero wiele lat później, gdy przystępowałem do ostatniego etapu pisania pamiętnika.

Rzecz bowiem w tym, że obcując tak długo ze światem odtworzonym tak żywo w wyobraźni, w gruncie rzeczy łączyłem się ze światem opowieści, na których się wychowałem. Wiedeń Musila: czasy, kultura, tajemniczy barokowy *mise en scene*, był pod wieloma względami filtrem, przez który zacząłem dostrzegać Rygę, życie moich dziadków i, do pewnego stopnia, dzieciństwo moich rodziców – takim, jak je sobie wyobrażałem. Obrazy, na podstawie których budowałem ten świat, przechowywałem w pamięci, często wbrew samemu sobie, od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Zrozumiałem zatem, że istnieje ciągłość, bezpośredni przepływ energii między tym, co stanowi historię mojej rodziny, między klimatem odmalowanym na fotografiach i pocztówkach, które z upodobaniem oglądałem (pomimo przemożnej chęci zostania typowym amerykańskim chłopcem), a scenerią i atmosferą, które urzekły mnie w powieści Musila. Ta właśnie Europa była dla mnie czymś niezwykle znajomym; ten stan dogłębnej intymności miał na mnie przemożny wpływ.

Po napisaniu pierwszego eseju przysłała kolej na następne; wiele z nich, jeśli nie większość, dotyczyło tematów europejskich. I oto pewnego dnia – świadomość jak zwykle rodziła się powoli – pojąłem, że wytyczyłem sobie szczególnie obszar literacki: stałem się krytykiem, który pośredniczy pomiędzy kulturą literacką Ameryki, a ogromnym bogactwem literatury obcojęzycznej, głównie europejskiej. Moją pierwszą książką była „An Artificial Wilderness: Essays on Twentieth Century Literature”. Dwa lata później napisałem „The Electric Life: Essays on Modern Poetry”. Dopiero w trzeciej książce: „American Energies: Essays on Fiction” byłem gotów zająć się pisarzami własnego kręgu kulturowego.

Rozwodzę się tak szczegółowo nad własnym życiorysem literackim, ponieważ wskazuje on na fakt, który nagle stał się oczywisty, choć przez lata uchodził mojej uwadze: że cała moja droga życia (także literacka) była silnie uwarunkowana najpierw przez zdecydowane odrzucenie, a następnie przez podświadomą akceptację moich kulturowych korzeni; oraz że dynamika ta była uwarunkowana przez wywierające ogromny wpływ, choć wypaczone, rozumienie istoty amerykańskości.

Mówię tu o odczuwanej przeze mnie – syna imigrantów – potrzebie wtopienia się w otaczający mnie świat, który (przypadkiem

czy zrzędzeniem losu) uzyskał wymiar absolutny. Co ciekawe, nie była to tylko moja mrzonka. Ameryka, której poszukiwałem, wpasowywała się niemal idealnie w stereotyp dominujący do dziś w globalnej kulturze: kraj zamoznych, wysportowanych, porządnym, białych, stuprocentowych Amerykanów. Kupując tak przeze mnie pożądane amerykańskie Marzenie, kupowałem w rzeczywistości fikcję stworzoną na Madison Avenue.

Dopiero lata sześćdziesiąte pomogły mi uwolnić się z tej pułapki samozadowolenia. Niesiony buntowniczymi prądami kontrkultury, zdobywając nowe doświadczenia i coraz lepiej poznając świat i Amerykę, zdołałem stawić czoło tyranii stereotypu. Walczyłem o odrzucenie tych najgłębiej zakorzenionych pozostałości; i pochlebiałem sobie (jak my wszyscy), że czynię to z powodzeniem. Istotnie, jeśli dzisiaj określam coś terminem „amerykańskie”, pojęcie to w moim rozumieniu obejmuje zarazem określenia „etniczne” i „różnicowane” (nawet jeśli stało się to już sloganem). Ta nowa świadomość na każdym kroku wpływa na to, jak myślę i piszę. Jednak jej znaczenie formacyjne nie jest równie silne; tuż pod nią bowiem kryje się inny rodzaj świadomości, bardziej emocjonalnej w swej istocie. Wolałbym, by było inaczej. Gdybym dysponował innym, głębiej osadzonym rodza-

jem świadomości, gdybym mniej obsesyjnie inwestował w realizację marzenia o normalności rozumianej jako wpasowanie się w model: „biały Amerykanin o anglosaskim rodowodzie”, mój okres kształtowania osobowości mógłby przebiegać znacznie łagodniej i mniej boleśnie. Jednak snucie takich dywagacji, choć niewątpliwie intrygujące, prowadzi nas donikąd. Kształtują nas bowiem nasze marzenia, a nad nimi nie mamy żadnej kontroli. ■

**S**ven Birkerts, nazwany przez jednego z krytyków „współczesnym mistrzem eseju literackiego”, opublikował serię cieszących się uznaniem książek o literaturze i kulturze. Do najważniejszych pozycji należy zaliczyć: „*An Artificial Wilderness: Essays on 20th-Century Literature*” (Morrow, 1987); „*The Electric Life: Essays on Modern Poetry*” (Morrow, 1989); „*American Energies: Essays on Fiction*” (Morrow, 1992); „*The Gutenberg Elegies: The Fate of Reading in an Electronic Age*” (Faber & Faber, 1994); „*Readings*” (Graywolf, 1998); „*My Sky Blue Trades*” (Graywolf, 2002). Eseje i recenzje Birkerts’a ukazywały się między innymi w „*New York Times Book Review*”, „*Atlantic*”, „*Harper’s*”, „*New Republic*”, „*Nation*”, „*American Scholar*”.

W „*Gutenberg Elegies*” Birkerts pisze: „Coraz dalej postępująca interaktywna komunikacja elektroniczna” może „odciąć nas od cywilizującej potęgi słowa pisanego”. W innym miejscu zauważa, że „książki elektroniczne i interaktywne filmy pozbawią nas zdolności do refleksji”. Obawa ta nie zaskakuje u literata intelektualisty, który w zamieszczonym powyżej eseju podkreśla znaczenie refleksji i lektur w odkrywaniu własnej tożsamości i kształtowaniu postaw wobec komercyjnej kultury amerykań-

skiej, w której dorastał jako syn europejskich emigrantów, urodzony w 1951 roku w Pontiac w stanie Michigan.

Lista nagród i wyróżnień przyznanych Birkertsowi obejmuje między innymi: *Citation for Excellence in Reviewing* (National Book Critics' Circle, 1985), stypendium Fundacji Lila Wallace-Reader's Digest (1991) oraz stypendium Fundacji Guggenheima (1994).

Od roku 1994 Birkerts prowadzi zajęcia na kursach pisania w Bennington (Bennington Writing Seminars); w roku 1997 został wykładowcą w Mount Holyoke College. Współpracował między innymi z czasopismami literackimi: „Wigwag”, „Mirabella”, „Esquire” i „Agni”.



# Robert Olen Butler

Pocztówka ma bez mała dziewięćdziesiąt lat. To autentyczna fotografia, wykonana skonstruowanym mniej więcej w tym właśnie czasie aparatem Kodak Brownie, odbita na sztywnym kartoniku z miejscem na korespondencję na odwrocie. W Ameryce początku dwudziestego wieku była to rzecz powszechna. Ludzie uwieczniali na zdjęciach różne sytuacje z życia codziennego i wysyłali je sobie nawzajem w formie pocztówek. Zdjęcie, o którym mowa, przedstawia kruchy dwupłatowiec, produkt owej pełnej niebezpieczeństw wczesnej fazy awiacji, lecący samotnie na tle pustego nieba. Jeśli się dobrze przyjrzeć, można dostrzec, że prawe górne skrzydło zaczyna się odrywać. Napis na odwrocie głosi: „Samolot hrabiego Sandta z Erie w Pensylwanii na moment przed upadkiem”.

Od ponad dziesięciu lat zbieram stare amerykańskie pocztówki. Kolekcjonuję je oczywiście z uwagi na fotografię – choćby już ta, o której mówię, jest przecież nadzwyczajna – ale bardziej chyba jeszcze pociągają mnie zamieszczone na odwrocie zapiski. Przed



nastaniem epoki telefonu ludzie nierzadko przekazywali sobie najbardziej osobiste informacje właśnie za pomocą pocztówek.

Jako pisarz, który korzenie swojej twórczości wywodzi z ducha Ameryki, jestem tymi pocztówkowymi zapiskami zafascynowany. Każdy artysta, bez względu na narodowość, wyczulony jest na niuanse, podteksty, świadectwa uczuć i pragnień ukrytych głęboko w ludzkich sercach. Tymczasem owe okruchy dawno już przebrzmiałych głosów przechowały nie tylko pulsujący życiem zapis poszczególnych ludzkich losów, ale również historię

trosk, problemów i cech charakteru narodu amerykańskiego w pierwszych latach stulecia, które miało okazać się tak niezwykłe.

Zaczynam właśnie pracę nad tomem opowiadań, do których zainspirowała mnie moja kolekcja amerykańskich pocztówek z pierwszych dwóch dziesięcioleci dwudziestego wieku. Na tom złożony jest ponad dwadzieścia utworów, każdy opatrzony reprodukcją obu stron pocztówki jako swoistym mottem. Narratorem będzie nadawca pocztówki bądź jej adresat, a może posłużyć się nawet głosem osoby, o której mowa w zapisanej wiadomości.

Na innej spośród moich pocztówek jakaś pani siedzi obok swojej przyjaciółki w samochodzie Mitchell z roku 1906, a pod zdjęciem znajduje się wierszyk: „Nie znam słodszej ja piosenki / Nad tę, której cudne dźwięki / Wzruszeń i przeżyć dostarczą nam tylu:/ nad śpiew silnika samochodu” i dopisek (kartka adresowana jest do owej przyjaciółki): „Czyż nie przypominają ci się te nasze cudowne przejażdżki po pięknej Drive Way?” Pocztówka została wysłana z miejscowości Quanah w Teksasie, nazwanej tak na cześć wodza Komanczów Quanaha Parkera, który jako ostatni przyprowadził swój szczeniak do teksaskiego rezerwatu w Staked Plains, później zaś wcielił się z powodzeniem w rolę przedsiębiorcy, był towarzyszem polowań Theodore’a Roosevelta oraz pełnił

funkcję zastępcy szeryfa w Lawton w stanie Kolorado.

Opowiadanie zainspirowane pocztówką przedstawia te dwie kobiety: podczas gdy ich mężowie spędzają czas na aukcji koni, one wymykają się razem na samodzielną przejażdżkę samochodem, a ów wyraz niezależności doprowadza je do spotkania twarzą w twarz z imiennikiem miasta właśnie. Naród, który powstał na gruncie poszanowania praw mniejszości, miał czasem trudności z pełnym zastosowaniem tych praw. Ale chwila utrwalona na pocztówce z początku dwudziestego wieku jest świadectwem otwierania się społeczeństwa amerykańskiego. Oto miasto w Teksasie zostaje nazwane imieniem wodza rdzennych mieszkańców Ameryki, który przez wiele lat walczył przeciwko planom zakładania takich miast, później jednak potrafił zaadaptować się do życia w nowych warunkach. A moje bohaterki rozkoszują się zdobyciami technologicznymi społeczeństwa zdominowanego przez mężczyzn, przeczuwając być może, że dzięki tej właśnie technologii pewnego dnia uda się owo społeczeństwo przekształcić w twór dużo bardziej egalitarny.

Na odwrocie fotografii przedstawiającej gmach w Waszyngtonie, gdzie mieścił się Departament Wojny, Departament Stanu i dowództwo Marynarki Wojennej, znajduje się taka oto notka: „Dla



kochanej Jojo na pamiątkę cudownej godziny spędzonej razem przed gmachem Departamentu Wojny, Stanu i Marynarki Wojennej (było naprawdę zimno) w oczekiwaniu, aż cały pochód dotrze do Białego Domu, gdzie mogłyśmy uścisnąć rękę prezydenta Roosevelta. Nowy Rok 1908. Na zawsze Twoja Deedee”. Podobnie jak wiele innych pocztówek zawierających bardzo osobiste treści, również i ta nie ma znaczka. W trosce o prywatność korespondencji została wysłana w kopercie. Dwie kobiety, złączone w tak niekonwencjonalny sposób, poczytywały sobie za zaszczyt, że mogą uścisnąć dłoń prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Czwartego lipca 1906 roku anonimowy młodzieniec wysłał fotografię rzeki Saco, przepływającej przez Góry Białe w New Hampshire, do mieszkańca Shelburne Falls w stanie Massachusetts, przypuszczalnie swojego ojca. Stempel urzędu pocztowego wskazuje, że młodzieniec zatrzymał się w Crawford House, jednym z okazałych hoteli wypoczynkowych w Górach Białych. „Spokojny Dzień Niepodległości – pisał. – W hotelu mieszka 220 osób. Kiedy rano wciągnano flagę na maszt, wszyscy zebrali się na placu, zdjęli nakrycia głowy i oddali trzykrotny okrzyk na wiwat. Jutro na boisko”. Lakoniczny ton tego listu zawsze mnie porusza. Przed niespełna stu laty hotelowi goście, w większości obcy sobie,

stają wspólnie na dziedzińcu, by dać wyraz łączącemu ich wzajemnie przywiązaniu do Ameryki. A nazajutrz nasz młodzieniec ma grać w baseball, ten jakże amerykański sport, znów więc łączy się z innymi, tym razem w sportowej rywalizacji.

Kolejne prywatne zdjęcie zostało najwyraźniej zrobione na froncie pierwszej wojny światowej: głębokie okopy wzmocnione drewnianymi palami, gdzieś nad nimi przemyka sylwetka żołnierza, na dnie okopu zaś stoi korpulentna matrona w ciemnej gabardynowej sukni i kapelusiku z wąskim rondem; na piersi ma przypięty kieszonkowy zegarek z dewizką, na wąskich wargach błąka się lekki uśmieszek mówiący „oj, ty lepiej na siebie uważaj”. Odręczny podpis brzmi po prostu: „Mama w okopach”. To jedna z amerykańskich matek przyjechała na linię frontu, by sprawdzić, jak się miewa jej syn.

Seryjna pocztówka jest artystycznym przedstawieniem kobiety opuszczonej. Pod fotografią wydrukowano motto: „Złamane serce”. Na odwrocie napisano kilka prostych słów: „Połączy nas śmierć”. Adresatem jest mężczyzna w Attleboro, w stanie Massachusetts. Brak jakiegokolwiek podpisu czy pozdrowienia. Na pierwszy rzut oka wygląda to na gorzkie rozstanie kochanków. Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej adresowi, okaże się, że odbiorca tej pocztówki przebywa w

sanatorium. Umiera na gruźlicę. I oto uruchomiona wyobraźnia zaczyna nagle przebudowywać relacje łączące tych dwoje: okazują się bardziej złożone – tym bardziej, że pocztówka nie zawiera żadnych wyrazów uczucia czy choćby tożsamości nadawczyni. W czasach, kiedy tak wiele chorób kończyło się śmiercią, ta kobieta, rezygnując ze zbędnych słów, wyraziła jedynie samą esencję wiary, którą dzieliła z umierającym ukochanym.

W wierze, pragmatyzmie i odwadze nadawczyni tej pocztówki jest dla mnie coś głęboko amerykańskiego. Podobnie jak w entuzjazmie kobiety z Teksasu zachwyconej postępem techniki, w reakcji przyjaciółek zadowolonych z możliwości spotkania z prezydentem, w poczuciu braterstwa z rodakami u młodego człowieka czy w pełnej siły i troski postawie matki żołnierza, która dla wyższego celu nie waha się zerwać z konwenansami.

*Zdjęcie, o którym mowa,  
przedstawia kruchy  
dwupłatowiec, produkt  
owej pełnej niebezpieczeństw  
wczesnej fazy awiacji,  
lecący samotnie na tle  
pustego nieba.*



mi. Chociaż, oczywiście, wszystkie te cechy mają również charakter uniwersalny.

**N**iezwykle istotne jest zrozumienie, w jaki sposób to, co uniwersalne, i to, co jednostkowe, łączy się w sztuce. Sztuka nie rodzi się w umyśle artysty, nie jest owocem racjonalnych umiejętności analitycznych, nie wywodzi się z idei. Sztuka pochodzi z obszaru marzeń artysty. Jej źródłem jest nieświadomość.

Nieświadomość to przestrzeń przerażająca. Wielki japoński reżyser filmowy Akira Kurosawa powiedział: „Być artystą to nigdy nie odwracać wzroku”. Jeżeli artysta stosuje się do tego zalecenia, jeżeli dzień po dniu, przy każdym nowym przedsięwzięciu artystycznym zagłębia się w obszary własnej nieświadomości i nigdy nie odwraca wzroku, to dotrze w końcu do miejsca, w którym nie jest już ani kobietą, ani mężczyzną, nie jest biała czy czarna, czy żółta, nie jest chrześcijaninem, muzułmanką, judaistą, hinduistką, buddystą czy ateistką, nie jest ani mieszkańcem Ameryki Północnej, ani

mieszkańką Ameryki Południowej, Europejczykiem, Afrykanką czy Azjatą. Jest człowiekiem. A jeśli tak się składa, że z urodzenia czy z wyboru nazywa swoim domem właśnie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, to będzie wokół siebie postrzegał rysy szczególnie tego miejsca i tej kultury, odnajdując w nich równocześnie aspekty współbrzące z wartościami ogólnoludzkimi, uznawanymi przez wszystkich mieszkańców naszej planety.

Jesienią 2001 roku zaangażowałem się w projekt mający na celu wykorzystanie internetu do nauczania tej podstawowej zasady procesu artystycznego. Moim studentom od dawna wpajałem przekonanie, że źródłem sztuki jest nieświadomość, co z kolei prowadzi do wniosku, że dzieła sztuki to zasadniczo przedmioty uchwytnie zmysłowo, pojmujące i tłumaczące świat na sposób nieanalityczny. Paradoks związany z nauczaniem tej formy sztuki polega jednakże na tym, że aby odrzucić analizę, w sposób nieunikniony posługiwać się trzeba językiem analitycznym, czego przykładem mogą być choćby te zdania.

I tak oto 30 października 2001 roku pod patronatem strony internetowej Florida State University, mojej macierzystej uczelni, zainicjowałem warsztaty pisarskie, których przebieg był bezpośrednio transmitowany przez internet. Co